



– No i jak?

Podsunięłyśmy Baśce Drugiej kawałek lustra. Im więcej dostrzegała w przymglonej tafli, tym szerzej się uśmiechała.

– Super! – oceniła.

– Teraz ja, Zuzia, teraz ja! – nie wytrzymała Baśka Pierwsza. – Dobrze?

I zaczęła spychać z krzesła Drugą. Naprawdę trzeba było się spieszyć. Konkurs już trwał, o czym świadczyły dolatujące nas dźwięki rumby. Wprawdzie po tańcach towarzyskich miał jeszcze występować akordeonista, ale organizatorzy całkiem słusznie się domagali, żeby artyści byli gotowi wcześniej.

Zaprzyjaźniłam się z dziewczynami w błyskawicznym tempie. Dwie z nich mieszkały w Karlówku, jedna w Renicach. Kiedy je chesałam, zdążyły mi opowiedzieć historię swojej kariery. Składały się na nią wokale w męskich kapelach, związane z tym konflikty

artystyczne, burzliwe związki uczuciowe, a na koniec rozstania. Łapałam wszystko w lot. Nic dziwnego. Różnica między nimi a mną polegała tylko na tym, że ja po swoich rozczarowaniach próbowałam kariery indywidualnej, a one założyły zespół. Pierwsza Baśka grała na basie, Druga Baśka na gitarze, a Dżesika na perkusji. Zasadniczą wokalistką była Baśka Druga. Ale w sumie śpiewały wszystkie: Baśka, Baśka i Dżesika, czyli Babadżes.

Wszystkiego wysłuchałam podczas robienia fryzur. Ale zanim się do nich zabrałam, musiałam skompletować narzędzia i akcesoria. Zaczęłam od sprawdzenia własnej torby.

– Dobry grzebień mamy – poinformowałam. – Spróbujcie znaleźć jakieś nożyczki. Najlepiej ostre. Może coś do utrwalenia?

– Zawsze mam ze sobą lakier – zapewniła Dżesika i rozpyliła aerozol w powietrzu.

– Dżesiczka lakierniczka – mruknęła Baśka Druga. – Niemożliwe, żeby w szkole nie było nożyczek.

– Lecę poszukać. – Baśka Pierwsza wybiegła z sali.

My w tym czasie przygotowałyśmy stanowisko fryzjerskie. Mogę o nim powiedzieć tylko jedno: było lepiej oświetlone niż fotel Dominiki, kiedy robiłam jej fryzurę ślubną. Nie czekając na powrót Basi Pierwszej, zabrałam się do głowy Drugiej. Rozdzieliłam jej długie włosy, splotłam i zrobiłam z nich dwa węzłki, które zamierzałam upiąć na czubku głowy.

– Przeszukaj szafy – rzuciłam w stronę Dżesiki, która właśnie opowiadała o tym, jak została perkusistką. W lot pojęła, czego mi trzeba. Z licznych pomocy naukowych wybrałam kolorowe patyczki, magnesy w kształcie liter i duże spinacze do papieru.

– Będzie ekstra!

Spinacze przytrzymały węzłki, patyczki je utwierdziły, a żółty magnes w kształcie literki B został przyklejony do jednego ze spinaczy. Akurat skończyłyśmy obie – ja fryzurę, a Dżesika opowieść – kiedy wpadła Baśka z nożyczkami i z dodatkiem w postaci nadtłuczonego lustra. Moja klientka mogła się zobaczyć i zachwycić. A niecierpliwa Baśka Pierwsza zaczęła ją spychać z krzesła.

– Zaraz – powstrzymałam ją. Potrząsnęłam lakierem Dżesiki i utrwaliłam swoje dzieło. Dopiero wtedy pozwoliłam usiąść Pierwszej. Skoro przyniosła nożyczki, to w nagrodę wypróbowałam je na niej. Ciąć się nimi dało, ale... Została osłonięta plastikowym workiem na ubrania i zrobiłam jej grzywkę. Może niezupełnie wyszła mi z tego Jaga Hupało, ale byłam blisko. W końcu jaki sprzęt, taka grzywka. Zależało mi, żeby jej, jako najwyższej z trójki, już nie podwyższać, więc z reszty włosów zrobiłam natapirowaną pajęczynę wokół głowy. Uzyskałam niezły kontrast: grzecznie na czole, a boki rozczapierzone. Pracowałam błyskawicznie, przez cały czas chłonąc informacje o okolicznościach założenia kapeli.

Wreszcie przyszedł czas na Dżesikę.

– Widać, że ktoś już tu działał...

– Nie ktoś, tylko Sandra – sprostowała Dżesika, zerkając na mnie spod wyrazistych czarnych brwi.

– A ja myślałam, że baba z grabiami.

Rozczesałam ten kołtun, a potem ułożyłam wysoki kok w kształcie ula, który odsłaniał szyję. Znowu wykorzystałam spinacze, patyczki i wreszcie magnes – tym razem literkę D. Solidne psiknięcie lakierem i można się było zbierać.

Nieżle. Wyglądały naprawdę nieźle. Trzy szmaragdowo-turkusowe sukienki z szerokimi, nastroszonymi spódniczkami, nad nimi gołe ramiona – jedna para kościstych (Baśka Pierwsza) i dwie pary pulchnych (Baśka Druga i Dżesika). I wreszcie ukoronowanie całości: trzy różne fryzury, każda przyciągająca wzrok. Wporzo.



Teraz wstęp na koncert miałam zapewniony. Informacja „z nami jest, z nami” grupy Babadżes wystarczyła, żeby wejść za kulisy. Bardzo dobrze. Nie zależało mi na oglądaniu z widowni amatorskich występów. Moim celem było znalezienie środka transportu. Wciąż najbardziej liczyłam na jury, ale na wszelki wypadek zamierzałam się trzymać Basiek i Dżesiki. Podczas gdy wszystkie trzy trzęsły się z tremy przed występem, ja kombinowałam, jak dotrzeć do Antoniego i razem z nim

wrócić za scenę. Tymczasem Baśki bezgłośnie przypominały sobie chwytgitary, a Dżesika wywijiała palczkami parę centymetrów nad garami.

– Czy jak stąd na chwilę wyjdę, wpuszczą mnie jeszcze? – zapytałam.

– Jasne!

– Tylko że ja jestem z... chłopakiem – wyznałam. Doszłam do wniosku, że jeśli tak go przedstawię, uniknę skomplikowanych wyjaśnień.

– Aaa – roześmiała się Baśka Druga. – Rozumiem! Przeprowadź go!

Oczywiście nie rozumiała, ale w naszym położeniu uznałam to za okoliczność korzystną.

– Zaraz wracam – zapewniłam.

To samo powiedziałam bramkarzowi stojącemu przy wejściu na scenę. Specjalnie zatrzymałam się przy nim i ustawiłam twarzą do światła, żeby mnie zapamiętał. Nie zareagował. Jego lodowata mina rokowała nie najlepiej. No, trudno, jak mnie nie zechce wpuścić, będę musiała go znokautować. Ale na razie miałam na głowie co innego.

Hol mocno opustoszał. Drzwi od sali teatralnej były szczelnie zamknięte. Obok nich kręciły się jakieś trzy osoby. Ale żadna z nich nie była Antonim.

Banderas, gdzie jesteś?

Zbiegłam po schodach. Był. Z opuszczoną głową siedział na ławce pod oknem, a jego kciuki przesuwały się po monitorze. Odetchnęłam z ulgą. W końcu

przrzekłam jego matce, że się nim zaopiekuję, ba, wzięłam za niego odpowiedzialność. Dokonałyśmy wymiany usług. W jej rękach było moje dziecko.

– Antonio! Jak dobrze, że jesteś!

Drgnął i podniósł oczy. Właściwie to oko, bo prawie było prawie niewidoczne pod powieką spuchniętą po ugryzieniu komara.

– To przecież ty zginęłaś – zdobył się na oskarżycielski ton, ale widziałam, że odczuł ulgę jeszcze większą niż ja. Twarz mu się rozpogodziła i przestał przebierać palcami po wyświetlaczu.

– Dzwoniłeś do mamy?

– A co jej miałem powiedzieć?

– No chyba prawdę. Mniej więcej.

W gruncie rzeczy ucieszyłam się, że nie zadzwonił. Tylko by ją przestraszył.

Krótko przedstawiłam mu sytuację. Położyłam nacisk na świetne relacje z zespołem, który dysponuje samochodem. Zapewniłam, że dziewczyny będą jechać w interesującym nas kierunku, ale nie wyjaśniłam, że tylko do Karłówka. Przyznałam wreszcie, że zabranie się z nimi to sprawa jeszcze tak do końca nie załatwiona, ale natychmiast zapewniłam:

– Pracuję nad tym.

Zerknęłam na zegarek. Gdyby nasza wycieczka przebiegała zgodnie z planem, prawie dojeżdżalibyśmy do miasta. Zdecydowanie sytuacja dojrzała do rozmowy z panią Moniką. I z którąś z par „dziadowskich”. Będą

się musieli nagle i niespodziewanie zaopiekować wnukiem.

– Dzwonię – zdecydowałam.

Pani Monika odezwała się po dwóch dzwonekach.

– No i co tam u was?

– Ogólnie super, ale jest pewien kłopot.

– Co takiego?

Zabrałam się do tłumaczenia. Błąd w rozkładzie jazdy, odjazd ostatniego autobusu, brak innych środków lokomocji – wszystko to wyrzuciłam z siebie jednym tchem. Spieszyłam się, żeby jak najszybciej wyjaśnić, na czym polegają nasze kłopoty, ale jeszcze bardziej dlatego, żeby zapobiec pytaniom o spotkanie z Krzyśkiem.

– W tej sytuacji zadzwonię zaraz do moich rodziców i poproszę o opiekę nad Antosiem...

– Ależ mowy nie ma – przerwała mi pani Monika. – Prześpi się u mnie, zresztą już mu się oczy kleją. Nie ma sensu go gdzieś wywozić.

– Ale...

– Wszystko mu wyjaśnię. A jutro rano przecież się zobaczycie.

Tego akurat nie byłam taka pewna. Pierwszy autobus był dopiero o jedenastej. Co prawda miałam w planach podróż alternatywnym środkiem lokomocji, ale na razie tylko w planach. W końcu jednak ustąpiłam Panice, a nawet dałam się przekonać, że dla dobra sprawy lepiej będzie, jeśli nie porozmawiam z małym. Jeszcze by się rozplakał... No dobrze, powiem prawdę – obawiałam

się, że to ja mogłabym się rozkleić. Do tej pory tylko jedną noc spędziłam bez niego. Spał u dziadków, jak poszliśmy z Krzychem na sylwestra.

Pomijając tęsknotę za Antosiem, wyszłam z tej rozmowy obronną ręką. Po moim telefonie przyszedł czas na Antoniego. Co będzie, jeśli się wygada, że nie było żadnej budowy? Że go w nieskończoność wodziłam po bagnach? Że z powodu ataku komarów ma skórę rozdrapaną do krwi? Czy w ramach rewanżu za jego straty moralne i fizyczne pani Monika nie obudzi mojego dziecka, nie zapakuje w taksówkę i nie wyśle zachłystującego się płaczem do dziadków?

– Wiesz – zagadnęłam Antoniego lekkim tonem – jak będziesz dzwonił do mamy, nie musisz jej opowiadać szczegółów. Zrobisz to po powrocie. Teraz nie mamy czasu.

Nie wiedziałam, czy mnie posłucha, i dlatego nastawiłam uszy jak radary. Okazało się na szczęście, że mój towarzysz podróży, może dlatego, że stałam obok, a może dlatego, że nie uważał tego za istotne, pominął niewygodne szczegóły. Niebezpieczeństwo zostało odsunięte.

– Lecimy na scenę – zarządziłam. – I żebyś nie był zdziwiony, powiedziałam, że jesteś moim chłopakiem. Tak będzie łatwiej.

Nie odpowiedział, ale zrobił minę, jakby chciał zostać. Chwyciłam go za rękę. Poddał się i posłusznie zrobił kilka kroków, a ja odniosłam wrażenie,



że prowadzę swojego synka, który z niewiadomych powodów nagle wyrósł. Przez głowę przeleciało mi pytanie, czy jemu z kolei się nie wydaje, że idzie ze swoją mamusią. A przecież, kurczę, jest starszy ode mnie!

Gdy stanęliśmy przed obliczem bramkarza o niewzruszonej twarzy, na scenie produkował się akordeonista. Odgradzająca nas od niego ściana tłumiła co przeraźliwsze dźwięki, ale, niestety, nie podnosiła poziomu wykonania. Na całe szczęście artysta nie grał Bacha ani Astora Piazzolli, bo, biedacy, by się w grobie przewrócili. Mordował za to jakiś popowy suchar z epoki młodości moich rodziców. Miałam wrażenie, że coś było nie tak z nagłośnieniem.

– No to jestem – przypominałam się ochroniarzowi. Nie dostrzegął mnie. Było to mało przekonujące, bo staliśmy w bardzo ciasnym korytarzyku. Ale jego wzrok błędził po suficie, gdy tymczasem on sam skutecznie blokował drzwi.

– Muszę tam wejść – przekonywałam. Zdaje się, że mogłabym go tak przekonywać do jutra, gdyby drzwi się nagle nie otworzyły i nie wybiegł z nich jakiś facet. Błyskawicznie rzuciłam się w tę stronę i pod ramieniem strażnika wrzasnęłam:

– Basia! Dżesika!

Mimo smętnych pojękiwań akordeonu usłyszały. Z półmroku kulis wyłonił się kok Dżesiki (naprawdę nieźle mi wyszedł), spod którego padło zdecydowane:

– Wpuszczaj ich, ćwoku!

Ćwok przybrał obrażony wyraz twarzy, ale odsunął się od drzwi. I tak oto oboje znaleźliśmy się na tyłach sceny.

– Co za pech – dramatycznym szeptem poinformowała mnie Dżesika. – Coś się popsuło w konsolcie. Michał poleciał oblukać, co się tam właściwie stało.

– Wyobrażasz sobie? – dołączyły się obie Baški. – Działa tylko jeden mikrofon i stary reflektor.

Wszystkie trzy były bardzo przejęte, ale to im nie przeszkodziło błyskawicznymi spojrzeniami obrzucić mojego towarzysza.

– Antoni – przedstawiłam go. – Zwany Banderasem.

Ten „Banderas” zabrzmiał jak czyste szyderstwo. Wymięta twarz, zapuchnięte oko, a na czole dorodny bąbel. Do tego sterczące z jednej strony włosy, które próbowałam przygładzić. Niewiele to dało.

Dziewczyny starały się nie okazywać, jakie zrobił na nich wrażenie. Tylko czarne brwi Dżesiki podjechały do góry. Jasne było, że ten pozorny brak oceny jest oceną. No cóż, nie było czym się zachwycać.

– To co będzie z występami? – spytałam.

Baška Druga rozłożyła ręce, Baška Pierwsza potrząsnęła głową, a Dżesika zmarszczyła swoje piękne brwi. Postawiłam się w ich położeniu – naprawdę, sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Na razie para prowadzących imprezę próbowała ratować sytuację, zapowiadając jeszcze jeden utwór

akordeonisty, co, sądząc po reakcji widowni, nie było wydarzeniem najbardziej oczekiwanym. Jednak sam artysta wziął tę zapowiedź za dobrą monetę i dodatkowy numer zagrał z dużym zaangażowaniem. To znaczy rozdzierająco.

Dżesika, która przez szparę zerkała na widownię, natychmiast doniosła, że sporo osób gwałtownie wyszło. Zastanawiałam się, czy w ogóle wrócić. A jeśli tak, to czy ponownie będą im sprawdzać bilety i, przede wszystkim, kieszenie.

W tej chwili wrócił za kulisy Michał. Minę miał całkiem zdołowaną.

– No i co? – zapytały dziewczyny.

W odpowiedzi użył poręcznego określenia, którego raczej nie powtórzę.

– Elektronika siadła – dodał. – Chłopaki sobie nie radzą.

– I co teraz? – jęknęła jedna z Basiek i ciężko klapnęła na piecu.

Odpowiedziała jej cisza, pustka w oczach i rozkładanie rąk. W tym momencie poczułam, że nadeszła chwila, żeby wkroczyć do akcji. Właśnie teraz. Dałam im jeszcze odrobinę czasu na totalne pograżenie się w rozpacz. W końcu jednak nie wytrzymałam i zapytałam słodkim głosem:

– Banderasku, nie sądzisz, że mógłbyś pomóc przy tej elektronice?

W ciągu sekundy wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie: niektóre zdumione, inne przepełnione nadzieją,

a jedno przestraszone (oczywiście Antoniego). Po chwili te zdumione i pełne nadziei przeniosły się na niego.

– Co to dla ciebie? Przecież ty się na tym świetnie znasz – powiedziałam tonem niezachwianej pewności.

I co powiecie? Podziałało! Wyraz zaleźnienia powoli zniknął z jego twarzy, wreszcie pojawił się znany mi już cień uśmiechu.

– No, mogę spróbować...

– Naprawdę? – rzucił Michał. – Znasz się na tym? Musiałam go wyręczyć.

– Siedzi w tym na co dzień.

Wolałam nie mówić, że na uniwersytecie. Podejrzywałam, że nie zrobiłoby to najlepszego wrażenia.

– To idziemy, facet. – Michał wziął za łokieć Antoniego, a on się nie sprzeciwił.

– Zuziu – zwróciła się do mnie Pierwsza – z nieba nam spadłaś!

Miło to było usłyszeć. Całkiem przyjemnie jest grać rolę męża... to znaczy żony opatrnościowej.

